ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. Czerwca. № 23. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego).

I.

Nudy to moja słabość, czytelniku. Ja się nudzę wszędzie, u siebie i za domem; przy stole, gdy już nieczuję głodu; na balu, jak tylko wejdę do sali. Nic nieprzypada mi do duszy, do serca, do gustu, i nic niéma dłuższego dla mnie, jak dzień.

A przecież jestem z liczby tych, których świat nazywa szczęśliwymi ludźmi. Mam lat dwadzieścia cztéry, a jeszcze niedoznałem innego nieszczęścia, prócz straty moich rodziców, i dotąd téż żal po nich jest-to jedyne uczucie, które żywię z niejaką przyjemnością w mém sercu. Zresztą jestem bogaty, pieszczony, poszukiwany; bez troski o dziś i jutro: wszystko mi idzie jak z płatka, wszystko mi stoi otworem. Dodajcież do tego chrzestnego ojca (jest-to mój wuj), który mię kocha i przeznacza dla mnie ogromny swój majątek.

Pośród tych wszystkich roskoszy jednak ziéwam, że omal duszy nie wyzionę. Czuję to nawet, że zanadto ziéwam, i pytałem o przyczynę mego lékarza. Lékarz przypisuje to osłabieniu nerwów, i każe mi pić dryawnik codzień wieczór i zrana. Zaprawdę niespodziéwałem się, że to tak niebezpiecznie, a iż drżę na samo wspomnienie śmierci, niemyślę teraz o niczém innén, jak tylko o téj wewnętrznéj słabości, która mi zagraża, a którą ukrywają przede mną. Badając uważnie jéj symptomata, macając często mój puls, śledząc moje wewnętrzne i zewnętrzne uczucia i zgłębiając szczególniejszą naturę méj migreny połączonéj z znacznem przyśpieszeniem méj ziéwaczki, doszedłem wreszcie do przekonania, ale tak okropnego, że wolę zachować je w tajemnicy; bo gdybym się zwierzył lékarzowi, a on potwierdził to przypadkiem, umarłbym niezawodnie od samego strachu.

Przekonanie to zaś jest takie, że mam polypa w sercu! Polyp! — wyznaję, że niewiem właściwie, co to jest i niestaram się nawet dowiedzieć, z obawy, abym nieodkrył coś okropnego: ale mam polypa w sercu, to niewątpliwa. Polyp ten wyjaśnia najlepiéj to wszystko, co się we

mnie dzieje: on jest przyczyną mego ziéwania, on źródłem moich nudów. Dla tego téż żyję bardzo umiarkowanie, zachowuję dyetę. Żadnego wina ni drobiu, kawa wykluczona, bo sprawia bicie serca. Herbata ślazowa zrana, to najlepszy środek na polypa sercowego. Żadnych kwasów, nic ostrego ani ciężkiego: takie rzeczy sprawiają niestrawność, która wywiéra najszkodliwszy wpływ na system nerwowy: natychmiast wolnieje obieg krwi, a mój polyp rośnie; grubieje, dojźrzewa.... Bo téż prawdę mówiąc wyobrażam go sobie w kształcie dużego grzyba.

Nieraz przepędzam całe godziny na rozmyślaniu o moim grzybie. Gdy mię kto zagadnie, grzyb niedozwala mi słyszeć; gdy przetańczę galopadę, wyrzucam sobie ten wybryk, jako niezgadzający się z moim grzybem; wracam wcześnie do domu, zmieniam bieliznę, każę sobie podać bulionu bez soli, wszystko to ze względu na mój grzyb; słowem żyję tylko dla mego grzyba. Tym sposobem zajmuje mię ciągle ta słabość, a jednak widzę niestety, że nieuwalnia mię wcale od drugiéj, to jest od nudów.

Ziéwam bez ustanku. Czasem wezmę do rąk książkę. Ależ te książki.... jak rzadko która zabawi! Dobre, są zbyt poważne i głębokie; trzeba sobie zadawać pracy, by zrozumieć, pracy by się ubawić, pracy by podziwiać. A nowości?... czytałem ich już tyle, że mało co wydaje mi się nowém. Nim otworzę książkę, już wiem co w sobie zawiéra; z tytułu poznam całą osnowę; z winiety domyślę się dążności, a zresztą grzyb mój nieznìesie żadnych gwałtownych wzruszeń.

Ścisłe zaś nauki?... i tych już próbowałem, zacząć, to fraszka jeszcze, ale iść daléj..... na co mi to, pytam się zaraz? Moje zadanie jasne jak słońce: żyć z moich dochodów, jeździć na koniu, ożenić się i odziedziczyć znaczny majątek. Niepotrzebuję uczyć się niczego, a będę miał to wszystko i nawet więcéj jeszcze. Jestem kapitanem gwardyi; wzywają mię do rady, narzucają urząd burmistrza: honory spadają jak deszcz na moją głowę. Ale mój grzyb niezniósłby wielkiego natężenia umysłu.

— „Cóż to jest?“

— „Dziennik.“

— „Dobrze, daj go tu.“

Będzie rozrywka na kilka minut. Szukam nowości, rozumié się nowin miejskich, bo sprawy hiszpańskie mało mię obchodzą, a belgijskie to wcale nudne. Ale cóż to? żadnego samobójstwa.... żadnego przypadku; nic o morderstwach ani o pożarach.... Głupi dziennik! To znaczy okradać abonentów.

Jakże mi żal tych pięknych dni w czasie cholery! Wtedy bawił mię dziennik utrzymując mię w ciągłym strachu, i najmniejszy wypadek ściągający się do téj poczwary, obudzał moją ciekawość. Widziałem ją, jak się zbliżała i oddalała; uważałem, jak się podkradała aż do moich drzwi otwierając swą paszczę... Spostrzeżenia te niebyły wprawdzie wcale przyjemne, ale między nadzieją, że nieprzyjdzie, a obawą, aby nieprzyszła, niebyło miejsca dla nudów; niemówiąc już o flaneli, która łechtała mą skórę,

tak że co chwila miałem się gdzie poskrobać.

W istocie ja nieznam nudów, żadnéj odrętwiałości ni ciała ni duszy, którejby niepokonało łechtanie. Jestem pewny nawet, że.... „A cóż tam znowu?“...

— „Pan Retor!“

— „Powiedz mu, że mię niéma w domu.“

— „Bardzo dobrze... ale on już tu.“

— „Panie Retor jestem zanadto zatrudniony, abym mógł panu służyć.

— „Tylko dwie minut...“

— „Niémam ani jednéj do stracenia.“

— „Chciałbym tylko pokazać panu tę chronologiczną tabelę powszechnéj historyi narodów....“

— (Licho go nadało z jego powszechną tabelą narodów!) „No i cóż?“

— „Robię uważnym pana dobrodzieja, że żadna tabela tego rodzaju niejest ani w połowie tak doskonała jak moja. Są tu cztéry rozmaite chronologie z podaniem lat podług ery chrześciańskiéj i od stworzenia świata. Tu masz pan kompletny szereg dawnych królów Egiptu i Babilonu....“

— (Radbym, by ci powieszono na plecach twój ogon królów babilońskich i twoją chronologię, ośle jeden! Jedna już za wiele, a on zaleca mi cztéry i jeszcze jakiś dodatek!!!) „Panie Retor, wszystko-to bardzo piękne, ale ja niezajmuję się już historyą.“

— „Masz pan tu cesarza Kan-tzen-silong....“

— „Dobrze już, dobrze, panie Retor; wierzę, że pańska tabela doskonała.“

— „Czy pozwolisz pan, bym mu zostawił dwa egzemplarze?“

— „Niewiem, cobym z niemi robił. Mam tabelę Hocquarta.“

— „Hoquarta! ta pełna błędów! Pozwól mi pan tylko pół godziny czasu, aby ją porównać....“

— (Błazen! mnież-to, mnie robić taką propozycyę?!) „Nic z tego, panie Retor. Pańskie tabele nudzą mię; ja niechcę żadnéj.“

Tu nastaje długa chwila milczenia, w ciągu któréj zwija p. Retor powoli swoje tabele; ja patrzę na to i niemogę doczekać się, by go pożegnać z całego serca.

— „Niebyłbyś pan łaskaw przy sposobności....“

— „Nie.“

— „Kupić encyklopedyę...“

— „Nie.“

— „Trzydzieści tomów in folio....“

— „Ba, jeszcze co....“

— „Z rycinami...“

— „Niechcę.“

— „I z rejestrami....“

— „Nie!“

— „Mouchona?“

— „Ależ nie! nie!!!“

— „Ha, więc muszę pożegnać.... pan byś mi jednak wyświadczył wielką łaskę, gdybyś wziął choć jedną tabelę.“

— „Jakto? więc jeszcze nie koniec!!“

— „Jestem ojciec familii....“

— „To nie do zniesienia!“

— „Siedmioro dzieci....“

— „Cóż mnie do tego?...“

— „Dam ją za pięć franków, zamiast dziesięciu.“

— (Siedmioro dzieci! Nakoniec będzie ich z piętnaście, a każde zechce mi sprzedać jedną tabelę chronologiczną!) „Oto pięć franków i żegnam pana.“

Zatrzasnąłem drzwi za nim i usiadłem napowrót. Jakaś gorycz żółciowa, jakiś szkaradny niesmak przyłączył się do moich nudów. Ten polyp zniszczy mię, zabije przed czasem! Przeglądam żałośnym wzrokiem moją tabelę chronologiczną, którą natrętny gość zostawił na moim stole: niéma w niéj ani jednego nazwiska aż do Kan-tien-si-long i Nektanebusa, któreby mi niezdawało się przedstawiać jakiegoś osobistego nieprzyjaciela, nieznośnego natręta, głupca z siedmiorgiem dzieci, który z ojcami familii sprzysięga się na moją kieszeń i zdrowie. Złość mię porywa, zapala, unosi.... Na ogień z tabelą!

Szczególna to przecież, jak nieraz gniew przywodzi do rozumu, a uniesicnie zwraca uwagę na przyszłość. Nim jeszcze zbliżyłem tabelę do ognia, namyśliłem się inaczéj: szkoda pięciu franków, które dałem za nią — rzekłem do siebie, a zresztą może to kiedyś przydać się dla moich dzieci. W tém to szczególnie mam przyszłość na względzie, gdyż nie jestem żonaty, i być może, że nieożenię się nigdy.

Przecież myślę o tém nieraz, że mając żonę może mniejbym się nudził niż teraz. Na wszelki sposób moglibyśmy przynajmniéj nudzić się we dwoje, a to musi być daleko przyjemniéj. Nakoniec, czyż ojcowie familii nudzą się kiedy? Niezdaje mi się. Ojcowie familii są czynni, weseli, w ciągłym ruchu; dokoła nich wrzawa i życie; kobiéta, która ich ubóstwia....

Kobiéta, któraby mię ubóstwiała rok, dwa lata, to jeszcze pół biédy. Ale gdyby zechciała kochać mię trzydzieści, czterdzieści lat! Na tę myśl dreszcz mię przechodzi. Czterdzieści lat kochać! Jakże to długo — prawdziwa wieczność! A dopiéroż te dzieciska, co wrzeszczą, płaczą, biją się, jeżdżą na kiju, przewracają meble, ocierają nos w rękaw.... Cała zaś nagroda za to: kształcić ich umysł i serce moją chronologiczną tabelą powszechnéj historyi narodów! Zaprawdę, musiałbym się długo, długo namyślać, chcąc się ożenić, pominąwszy nawet mego polypa.

A przecież mam ja na oku młodą osobę, któraby w każdym względzie odpowiedziała moim życzeniom. Twarzyczka miła, majątek dość znaczny; nasze charaktery zgadzają się także. Ale ma pięć ciotek, ojca, matkę, dwóch wujów; razem jedenaście do dwunastu starszych krewnych. Odkąd zaczęto mówić o tém małżeństwie, wszyscy mi nadskakują z uśmiechem, pochlebstwem, protekcyą, że omal niezginę z nudów. Ziéwam im w oczy, oni podwajają swoje grzeczności. Wtedy czuję wyraźnie, jak miłość moja się chwieje, i niemyślę już o małżeństwie.

Alc ponieważ czułe serca niemogą się obejść bez tkliwych wrażeń, skłania się moje na inną stronę. Czuję jak najwyraźniéj, że ubóstwiam inną dziewicę, któréj unikałem z początku, by nieżywić dwóch płomieni naraz. Ta ma twa-

rzyczkę tak delikatną, oczy tak piękne, dowcip tak miły i naturalny, że niepodobna jéj niekochać; a co najważniejsza, niéma żadnych krewnych. To téż wyznaję, że z każdym dniem zachwycają mię bardziéj jéj wdzięki i jéj majątek.

Jedno tylko mię dręczy: prócz mnie nikt więcéj nieubiega się o jéj względy. Tak więc musiałbym wkońcu wzdychać przy niéj sam jeden jak bohater piérwszéj lepszéj sielanki. Choćby kwiat był tak piękny, że tylko go zerwać, jeźli każdy go pomija, pocóż ja bym miał sięgać za nim? ja szczególnie, co mam gust tak wybredny i delikatny!

Niedawno przyszedłem na bal właśnie, gdy tańczyła z przystojnym oficerem; nadobna, uśmiechna, zachwycona, zdawała się nieuważać nawet, żem wszedł do sali. Wokamgnieniu uczułem jakiś szalony zapał, serce zadrżało z radości, byłem już na drodze do małżeństwa. Co prędzéj zamawiam ją do piérwszéj galopady. „Bardzo dobrze.“ — Do drugiego kadryla? — Bardzo dobrze. — Do trzeciego walca? — Bardzo dobrze. — Do piątéj galopady? — Bardzo dobrze; ciągle bardzo dobrze: nikt się nieznalazł, coby mię uprzedził. Wnet téż ostygł mój zapał tak dalece, żem przez cały wieczór tylko jadł suche ciasteczka.

Od tego dnia zwróciłem moją uwagę na inną dziewicę, którą z początku mało się zajmowałem, jedynie dlatego, że cały świat mi ją stręczył, a osobliwie mój ojciec chrzestny. Jest-to panna S..., kuzynka pani de Luze; co znaczy tyle, że należy do piérwszéj familii i najznakomitszych salonów miasta. Jest słuszna, wspaniałéj postawy, i kawalerowie garną się do niéj równie dla jéj dowcipu jak i dla piękności, oprócz tego przewyższa jéj bogactwo wszystkie inne przymioty. I kto wié, czy niebyłbym się już ożenił, gdyby nie mój ojciec chrzestny.

Przeszłego poniedziałku przyszedłem dość późno na bal. Około niéj tłoczyła się młodzież. Ja musiałem poprzestać na przyrzeczeniu szóstego kadryla i dzielić przywiléj galopady z trzema innymi panami. Przeszkody te podniecały moją namiętność; najżywsza miłość, najszczerszy zapał zaczynały budzić się w mém sercu; myślałem już o stanowczych krokach nazajutrz, i nawet widocznie zachęcający wzrok mego wuja niemógł ostudzić mego zapału.

Chociaż mówiła tylko o balu, zachwycał mię jednak jéj dowcip, a to tém bardziéj, że nagradzała słodkim uśmiechem wszystkie moje żarciki. Ja potrafię być bardzo dowcipnym, jak zechcę. Zapewne, myślałem sobie, niebraknie i jéj dowcipu. Doskonała rzecz! Będziemy się bawić wybornie: czy zechce rozmawiać, czy milczéć, da się zawsze coś nader miłego pomyśléć, odgadnąć, przeniknąć. Z takiemi myślamy pochwyciłem ją w wir tańcu; byłem zachwycony, jak nigdy przedtem. Zdawało mi się, że trzymam w ręku jakąś niebiankę; wzór piękności, dowcipu, uczucia, a jéj gorsecik z atłasu, uginając się z lekka pod memi palcami, upajał balsamiczną wonią moją rozmarzoną duszę.

I powziąłem już stanowczy zamiar oświadczyć się, gdy na wychodném zatrzymał mię wuj promieniący radością:

„No, przecież, przecież! — zawołał — A dobrześ ugodził: panna cię ubóstwia!“ — „Do prawdy?“ — „Słowo tylko, a masz jéj rękę. Familia ci sprzyja, wszyscy są za tobą.“ — „Czy z pewnością?“ — spytałem rozczarowany. — Wuj szepnął mi do ucha: „Jest już nawet mowa o pomieszkaniu, które bardzo podobało się pannie. Hm! chłopcze, ja ci powiadam, tyś się w czépku rodził. Spuść się tylko na mnie!....“ Im dłużéj prawił mój wuj, tém bardziéj nikł urok miłości, i niebiańska postać, i atłasowy gorsecik. „Muszę — odrzekłem ozięble — muszę... namyśléć się jeszcze.“ — I niemyślałem już o tém wcale.

Tym sposobem jestem dziś prawie równie niezdecydowany jak przedtem.... „A cóż tam znowu?“

— „Czy pan jé obiad?“

— „Głupcze, cóż to za pytanie!“

— „Ale czy w domu?“

— „Poczekaj no.... dobrze, będę jadł w domu.“

— „Więc idę nakrywać.“

— „Albo nie, daj pokój. Namyśliłem się inaczéj, pójdę do miasta.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOMEDYA.

DRAMAT
Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. Rozmaitości.)

CZĘŚĆ DRUGA.

(Teatr przedstawia salon w domu Prezesa w Odessie. Przy podniesieniu zasłony widać Henryka odchodzącego. — Lidia stoi na środku sceny blada, wzruszona, cisnąc obie ręce do piersi. — Chwila milczenia.)

Scena 1.

Lidia *(sama.)*

O! mój Boże! mój Boże! co się dzieje ze mną?
W duszy — słońca mi świécą, a w oczach mi ciemno!
Czuję, że muszę mówić! Bo w sercu zamknięte
Myśli, serce rozerwą! Jakież niepojęte
Uczucie mię napełnia: mimo wiedzy, woli,
Całą mą istność chłonie, unosi i boli!
A gdy rozkosz i ból ten w słowa się wyrywa,
Jedno powtarzam tylko: ach! jakżem szczęśliwa!
Szczęśliwa! o! szczęśliwa!

(Zamyśla się.)

Nie! Ja bardzo biédna!
Od kiedy pomnę siebie, zawsze sama, jedna!
Miłość matki lub siostry były mi marzeniem,
Nieujętym snów rajem, daremném pragnieniem!
A dziś! gdy po dniach długich sierocego życia.
Mam piérwszą chwilę szczęścia, czuję serca bicia,
I pragnę ogniem myśli pałające skronie
Złożyć na opiekuńczém, kochającém łonie;
Ujźrzéć wzrok, co nade mną troskliwie jaśnieje,
Mego szczęścia łzą zaszły i moje nadzieje,
Tą łzą błogosławiący: wkoło głucho, ciemno!
Nikt nie modli się za mnie, nie czuwa nade mną!...
W stanowczéj chwili życia, zostawiona sobie,
Nie wiém czy dobrze, zacnie, lub czyli źle robię?

Nie wiém, czy droga uczuć, rozjaśniona, luba,
Drogą szczęścia i prawdy? Czy końcem jéj —
(zguba?
Teraz-to, w nadziei piérwszych, te piérwsze go-
(dziny,
Wszystkie moje łzy dawne, smutki bez przy-
(czyny,
Bolesny ucisk serca, duszy méj tęsknota,
Dopiéro mi pojętne: czuję, żem siérota!
Sama jestem! o! sama!

(Wchodzi Basia, Lidia z rzewnym płaczem rzuca się jéj na szyję).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

INSTYNKT WĘDROWNY U ZWIERZĄT.

(Dokończenie. Ob. N. 19. Rozmaitości).

Niemniéj ciekawém zjawiskiem jest wędrówka *gołębi wędrownych*, lecz wprzód wspomnieć należy o wyuczonych gołębiach pocztowych, których zmysł swojski przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. Jak wiadomo, utrzymano długi czas pocztę gołębią między Bordeaux i Bruxelą. Działo się to w ten sposób, że gołębie przewiezione w koszach zamkniętych z jednego z tych dwóch miast do drugiego odlatywały natychmiast na dawne miejsce. — Ciekawsza jeszcze próba w tym względzie odbyła się w Berlinie r. 1849. Dwa gołębie pocztowe przewieziono koleją żelazną w koszach osłoniętych z Akwisgranu do Berlina, gdzie uwiązano im listy i potem puszczono. Jeden z tych gołębi wrócił już w półtrzecia godziny do Akwisgranu, gdy tymczasem drugi przybył tam dopiéro w cztery godzin. Obydwa gołębie wzbiły się po swém wypuszczeniu wysoko w powietrze, zawiodły kilka razy wielkiém kołem, a potem poleciały w prostym kierunku do Akwisgranu.

Dodać tu należy i tę jeszcze uwagę, że dla kulistego kształtu ziemi nie mogły te gołębie nawet z tak znacznéj wysokości sięgnąć wzrokiem z Berlina aż do Akwisgranu.

O gołębiach wędrownych wspominamy tu jeszcze z osobna dla téj mianowicie przyczyny, że się niektóremi przymiotami odszczególniają od innego ptactwa, i że się instynkt ich wędrowny łączy w wysokim stopniu z instynktem towarzyskim.

Gołębie wędrowne przebywają w Ameryce północnéj, gdzie w okolicach leśnych zbierają się w stada ogromne i nieprzeliczone.

Częstokroć są te stada tak liczne, że w lesie na mil kilkanaście pełno ich na każdym drzewie. Przed kilkoma laty spostrzeżono w ziemstwie Kentuky ogromne stado gołębi wędrownych, przechowujące się w gąszczy leśnéj na dziesięć mil geograficznych wzdłuż i na jedną milę wszerz. Na całéj téj przestrzeni znajdowały się gniazda prawie na każdém drzewie, a kiedy odleciały daléj, znaleziono kilkacalową warstwę pognoju na ziemi. Natomiast zaś obgryzły w całéj okolicy krzewy i wydzióbały wszystką trawę miękką, a gałęzie drzew wysokich pogięły się i połomały pod ciężarem tłumnie obsiadającego ptactwa. Podobne ślady zniszczenia utrzymują się przez długie nie raz lata, lecz mimo to radzi im mieszkańce, mianowicie Indyanie, bo młode gołębie — z których po jednym tylko w każdym gnieździe, są dość spore i nadzwyczajnie tłuszczem oblane, a tłuszcz ten smaczny i pożywny.

Gołębie wędrowne zwiedzają zresztą obszary leśne bez żadnego porządku i nie pilnując w tém żadnéj pory lub czasu, tak że wędrówką ich władać się zdaje mniéj stateczny instynkt, lecz przypadek raczéj. Sławny amerykański badacz przyrody, Wilson, podaje liczbę takiego stada wędrownego na dwa miliony gołębi. Inny znów pisarz wiarogodny opowiada o tych gołębiach w ten sposób: „Ptactwa tego było tak gęsto, ze się o południu ściemniało jakby podczas zaćmienia słońca, a gnój spadał gorzéj śniegu płatkami. Przed zachodem słońca stanąłem w Luisville, o pięćdziesiąt i pięć mil angielskich od miejsca pierwotnego, lecz gołębie ciągnęły wciąż tak gęstemi jak wprzód tumanami, a wędrówka ich trwała przez całych trzy dni. Przez cały ten czas polowała ludność okoliczna na przelatujące ptactwo.“

Dziwne to zjawisko stwierdzają w opisach swoich i podróżni niemieccy. Oprócz tego odkryto niedawno wysepki skaliste z odwiecznemi warstwami pognoju ptasiego, a mianowicie ptactwa wędrownego, które od czasu do czasu szuka na tych wyspach przytułku.

Wiadome też są i spory polityczne o posiadanie wysp pomienionych, o które dobijają się z największą usilnością, chociaż są małe, całkiem puste i nie znajdzie tam ani jednego drzewa lub krzaku. Lecz za to pokryte są grubemi warstwami najlepszego w świecie pognoju, za który okręta płacą ceny wysokie. A jednakże te warstwy niczém inném nie są, jak tylko gnojem pewnego rodzaju ptactwa gnieżdżącego się

milionami na tych wyspach. Warstwy też pognoju tego tak są ogromne, że wystarczą jeszcze na lat kilkadziesiąt pod uprawę pól cywilizowanego świata. Wartość wysp tych jest tak wielka, że z czasem może jeszcze przyjść o nie do walki między Anglią i Stanami Zjednoczonemi. Obliczono bowiem, że jeźli pognój w niższych warstwach tych wysp skalistych okazał się tak przedni jak w wyższych, tedy wszystkiém potąd złotem uzyskaném w Kalifornii nie opłaconoby jego wartości.

A jednak pochodzi on ze zwrócenia ptaków żywiących się rybami morskiemi, a ptactwo pomienione musiało zapewne kilka tysięcy lat tam przebywać, kiedy tak wielkie masy pognoju powstały. Wnosząc po wierzchnich warstwach niedawnych, wynosić może liczba tych ptaków do kilkunastu milionów.

Wiejska Gmina Sławiańska.

Wiejska Gmina sławiańska, — tak jak się zachowała w kwiecie pierworodnego zawodu u Serbów, Czarnogórców, Bułgarów, niemniéj w Bosnii, w sławiańskiéj Illiryi, a poczęści i w staréj Rosyi — jest właściciel pewnego obszaru ziemi, jest osoba opłacająca daninę za siebie, odpowiednia w obec władzy państwa za wszystkich i za każdego z osobna, i dla tego samowładna we wszystkiém tém, co się tyczy jéj spraw wewnętrznych.

Ziemia należy do całéj gminy, a nie do członków pojedynczych; lecz za to ma każdy z członków prawo nieodzowne, domagać się na siebie tyle obszaru, ile posiada każdy inny członek w téj saméj gminie.

Ziemia zaś rozdaje się w dożywocie, nikt dziedzicznym spadkiem brać jéj nie może ani też potrzebuje. Syn gospodarza, byle dorosł, ma prawo jeszcze za życia ojca domagać się u gminy odpowiedniéj cząstki za siebie, która jednak po zgonie jego na powrót do gminy przypada.

Idzie zatem że który z gospodarzy ma więcéj dzieci, ten także w familii swojéj ma więcéj posiadłości, jest najbogatszy, w gminie najmożniejszy. Dzieci u niego rzeczywiście błogosławieństwem bożém.

Kto sam za życia zwraca grunt gminie, jak to zwykle czynią ludzie sędziwi, podeszli w lata, ten nabywa prawa nie płacić podatku. Ale jeźli się gruntu nie wyrzekł uroczyście, ten chociażby nie mieszkał w gminie, znosi ciężary, lecz i prawa swego nie traci do téj ziemi, którą raz objął w posiadanie.

Prawo by stracił gdyby z gminy został rugiem wywołany; ale na to potrzeba, ażeby wyrok zapadł jednomyślny na ogólném całéj gminy zebraniu. Rzadko się jednak taki przypadek zdarza, bo nie podobna by ktoś, choć jeden z familii nie był za nim. Jaka być by to musiała zbrodnia, ażeby go jednomyślność braci, przyjaciół i znajomych podobnie cudzym potępiała?

Kto zaś na własne żądanie występuje z gminy, i gmina go wyzwala, ten z porządku rzeczy zwraca posiadłość gminie, lecz mu wolno własne ruchomości z sobą zabierać; domem jednak i budynkami, chociażby je sam ponastawiał, tylko za szczególniejszém przyzwoleniem gminy rozporządzić jest mocen; a co rzadko bywa.

Kto posiada kawał gruntu w gminie i jest robotnym, a takim jest każdy pełnoletni, ten ma głos i wolę w radzie na zborach powszechnych. Tu obierają z pomiędzy siebie przełożonych swoich i ławników; na tych samych zborach rozstrzygają się przygodne spory gminy z gminą, tu wydzielają się grunta, rozkładają podatki, i inne domowe załatwiają sprawy. Gmina tym sposobem zostaje samowładną, a przełożony którego sobie obrała jest tylko zawiadowcą i wykonawcą woli ogólnéj. Zakres działania jego jest szczéro administracyjny, nad gminą w całości mało co może, władza jego rozciąga się tylko pojedynczo na członki z osobna, do niego odnoszą się zwykłe sprawy gromadzkie, w rzeczach zaś wychodzących z obrębu spraw powszednich odnosić się musi lub do starożytnego obyczaju, albo powoływać do sądu i rady starszych w gromadzie, lub wnosić na wolę zboru przy zgromadzeniu ogólném.

Jeżeli gmina która nie posiada w podostatek gruntów, i z roli wyżywić się nie może, obierają sposobną gałąź bądź przemysłu, bądź rzemiosła, bądź rękodzielni, społą jéj się oddają, i przeistaczają się ci w gminę kołodziejów, ci szewców, ci tkaczy, garncarzy i t. p. Profesyoniści puszczają się w najem, rozchodzą gromadnie pod wodzą kogoś między sobą ze starszych, zabiegają w dalekie strony, w Rosyi mularze, cieśle, do Petersburga i Moskwy, zwoszczyki rozlewają się po całém państwie, zachodzą do nas Filipony, Kacapy. Pracują społem; starszy umawia się za wszystkich, godzi, dochodami zawiaduje, i od pory do pory według pracy i zasługi wszystkich obdziela. Stanowią takiém prawem niemal jedną ruchomą gminę wiejską, która po upływie pewnego czasu do swoich wraca, a młodszych, za siebie tym samym trybem wyprawia

Za tém idzie że po miastach, luboć rzemieślnikami przepełnionych, wieksza część z nich nie pisze się mieszkańcem miejskim, gdyż ma dom swój, zagrodę i rodzinę tam zkąd jest rodem i dokąd wraca; więc też że ludność miejska w stosunku do ludności wiejskiéj zawsze zostaje mała, miasta się nie przeludniają, i nie tworzą „hultajstwa“, jakim wyrazem oznaczają na Litwie, dziś to samo co dawniéj w Polsce, to jest to co Zachód „Proletaryatem“ nazywa, a oni rozumieli ludzi bez kąta, którzy nie trzymając się gruntu robią za dzienną płacę, żyją z dnia na dzień, przewlekają z domu do domu, i do familijnéj społy nie wchodzą.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*